

Przemysław Sieradzan

Rzecz o możliwej resuwerenizacji geopolitycznej Europy

Regularnie pojawiające się doniesienia o zbrodniach wojennych, których Amerykanie dopuszczają się w Afganistanie, Iraku, czy choćby osławionej bazie w Guantanamo, co prawda bulwersują opinię publiczną, ale rzadko kiedy skłaniają kogokolwiek do dalej idących refleksji nad ewolucją światowego ładu międzynarodowego, skutkami hegemonii amerykańskiej dla naszej planety i rolą Paktu Północnoatlantyckiego. Najnowsze wieści Associated Press na temat torturowania afgańskich jeńców wojennych w tajnej bazie Centralnej Agencji Wywiadowczej w Polsce powinny zapoczątkować dyskusję o celowości istnienia NATO – organizacji będącej narzędziem utrwalania światowej supremacji Stanów Zjednoczonych. Warto także zastanowić się, czy bezrefleksyjnie powtarzana teza o europejsko-amerykańskiej wspólnocie wartości wytrzymuje konfrontację z rzeczywistością.

Rok 1949, gdy w Waszyngtonie Harry Truman (przypomnijmy: jedyny w dziejach ludzkości przywódca, który podjął decyzję o użyciu broni jądrowej w celach militarnych) proklamował powstanie Paktu Północnoatlantyckiego (symbolizowanego przez charakterystyczną różę wiatrów na niebieskim tle), może być uznany za symboliczny moment desuwerenizacji Europy Zachodniej. Od tego momentu państwa europejskie leżące na zachód od Łaby utraciły resztki podmiotowości geopolitycznej, a ich rola w światowych stosunkach międzynarodowych została zdegradowana do pionków i figur na światowej szachownicy, o których posunięciach decydował gracz zza oceanu.

Z punktu widzenia geopolityki, rola państw zachodnioeuropejskich w Zimnej Wojnie może zostać zestawiona z analogiczną rolą odgrywaną przez państwa leżące na wschód od Żelaznej Kurtyny, których polityka została w pełni podporządkowana interesom geopolitycznym ZSRR – drugiego gracza, rozgrywającego partię szachów na globalnej planszy. Teza ta może brzmieć zaskakująco dla polskiego czytelnika, przyzwyczajonego do quasi-manichejskiego przeciwstawiania „Wolnego Świata” „zniewolonemu” obozowi socjalistycznemu. W rzeczywistości jednak stopień suwerenności geopolitycznej państw europejskich po obu stronach Muru Berlińskiego był dokładnie identyczny (niski, ale nie zerowy, o czym świadczyć mogą próby odzyskania podmiotowości podejmowane chociażby przez Charlesa de Gaulle’a czy Willy’ego Brandta po stronie zachodniej oraz Josipa Broz Tito i Nicolae Ceacescu po stronie wschodniej).

Dwubiegunowy ład zimnowojenny pozostawiał nader wąski margines dla postaw określanych zbiorczo poprzez nadzwyczaj pojemną kategorię „niezaangażowania”. Nawet państwa należące do powstałego w 1955 roku podczas konferencji w Bandungu Ruchu Państw Niezaangażowanych, pomimo oficjalnych deklaracji, w znacznej większości sympatyzowały z obozem państw socjalistycznych, z kolei państwa takie jak Izrael czy Republika Południowej Afryki, oficjalnie nie należące do żadnego z bloków, reprezentowały interesy geopolityczne USA. W czasach zimnowojennych polityczne niezaangażowanie mogło przejawiać się już to w całkowitej bierności (co oznaczało zazwyczaj równoważenie się wpływów obu biegunów, tworzące swego rodzaju stasis), już to w umiejętnym lawirowaniu między dwoma blokami (najbardziej jaskrawym przykładem mogą być tu Chiny). Ani pierwsza, ani druga strategia nie mogła stać się fundamentem dla zdobycia suwerenności geopolitycznej, zatem wpisywała się w pełni w logikę świata dwubiegunowego.

Upadek Muru Berlińskiego stworzył kuriozalną sytuację geopolityczną. Tryumf Stanów Zjednoczonych wydawał się pełny, absolutny i ostateczny, a całokształt zachowań (zarówno

wypowiedzi, jak i decyzje polityczne) liderów radzieckiego/rosyjskiego ośrodka siły nosił wszelkie znamiona bezwarunkowej kapitulacji. George Bush Senior butnie ogłosił nadejście Nowego Ładu Światowego, a Francis Fukuyama oblekł tezy prezydenta w terminologię naukową, formułując sławetną tezę „końca historii”. Radość amerykańskich liderów i sekundujących im intelektualistów-klakierów była jednak przedwczesna. Amerykańscy stratedzy umiejętnie zdemonstrowali drugi biegun zimnowojennego ładu, lecz na jego miejscu nie zdołali zbudować ładu jednobiegunowego. Na miejscu drugiego bieguna powstała (by posłużyć się adekwatnym terminem Zbigniewa Brzezińskiego) ziejąca „czarna dziura”. Mieliśmy do czynienia z absurdalną sytuacją dwubiegunowego świata, w którym nagle zniknął jeden z biegunów. Stany Zjednoczone uzyskały (nadzwyczaj nietrwałą) pozycję globalnego hegemonu, lecz nie zbudowały struktury geopolitycznej, która mogłaby stać się podstawą dla jednobiegunowego ładu międzynarodowego. Istotnym krokiem w kierunku ugruntowania dominacji było poszerzenie NATO na wschód – to jednak za mało, by mówić o globalnej strukturze geopolitycznej. Kolejne akty agresji, służące umocnieniu pozycji hegemonu („Pustynna Burza”, atak na Serbię, wojny w Afganistanie i Iraku) skutkowały stopniową erozją autorytetu Stanów Zjednoczonych, kreujących się na obrońcę pokoju, ładu, demokracji i stabilności międzynarodowej. Bill Clinton, który do perfekcji opanował sztukę władania postpolitycznym orężem socjotechniki, potrafił pogodzić wizerunek sympatycznego post-hippie z ekspansjonistyczną i militarystyczną polityką, ale już jego następca, George Bush Junior nie miał do zaproponowania wspólnocie międzynarodowej nic poza neoimperialną butą i arogancją.

Warto zwrócić uwagę na ewolucję relacji transatlantyckich po 1991 roku. Tuż po dezintegracji Związku Radzieckiego zwycięski obóz NATO w sensie geopolitycznym był monolitem, na którym trudno było dostrzec jakiejkolwiek pęknięcia czy skazy, a Atlantyk wydawał się geopolitycznym jeziorem, które nie dzieli, lecz łączy (podobnie jak Morze Śródziemne w czasach Imperium Rzymskiego). Jeszcze w 1999 roku opór światowej opinii publicznej przeciwko tragicznym w skutkach bombardowaniom Belgradu był nader wąty, natomiast w roku 2003 dziesiątki milionów demonstrantów na ulicach europejskich miast wstrząsnęły światem. Pierwsze lata XXI wieku przyniosły geopolityczne trzęsienie ziemi – Atlantyk ponownie stał się ziejącą czeluścią, dzielącą dwa odrębne światy. W 2003 roku europejska opinia publiczna trafnie zdemaskowała „wojnę z terroryzmem” jako batalię o surowce naturalne i światową hegemonię USA.

„Ukarać Francję, zignorować Niemcy, wybaczyć Rosji” – ta wypowiedź przypisywana doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego George’a W. Busha, Condoleezie Rice stała się symbolem rzeczywistego oblicza amerykańskiego mocarstwa, które dostrzegli europejscy obywatele i politycy. Polityka divide et impera była zanadto czytelna, by jej ofiarą mógł paść ktokolwiek poza zaślepionymi politykami Europy Środkowo-Wschodniej, dowartościowanymi przez Sekretarza Obrony Donalda Rumsfelda, jako liderzy „nowej Europy”. Z gorliwością neofitów politycy środkowoeuropejscy udzielili Amerykanom nieograniczonego wsparcia, wysłali żołnierzy na iracki front, osiągnęli jednak skutek przeciwny do zamierzonego. Pomoc militarna miała charakter symboliczny, pomoc wywiadowcza – kuriozalny (vide „odkrycie” rzekomych francuskich rakiet na wyposażeniu irackiej armii przez polskich wywiadowców), a pomoc polityczna stała się obiektem złośliwych docinków w samych Stanach Zjednoczonych (frazja „You forgot Poland” wygłoszona przez G. W. Busha w debacie z Johnem Kerrym do dziś pozostaje źródłem inspiracji dla komików zza Atlantyku). Próba wbicia klina między państwa Europy Zachodniej zakończyła się fiaskiem. Orwellowskie seanse nienawiści w rodzaju

publicznego wylewania do ścieków francuskich win (sic!) w USA scementowały tylko postawy antyamerykanizmu w Europie. Doniesienia o brutalnych torturach jeńców irackich i afgańskich (Guantanamo, Abu Gharib), a także informacje o różnego rodzaju kulturowych kuriozach w USA (szerzenie się postaw religianckich spod znaku „Chrześcijan Nowo Narodzonych”, wykładanie teorii „inteligentnego projektu” w szkołach niewyznaniowych, nieznane w Europie kary za przestępstwa obyczajowe w tzw. Pasie Biblijnym) potęgowały wrażenie, że po dwóch stronach Atlantyku znajdują się dwa różne światy.

Ewentualne zwycięstwo Johna McCaina w wyborach prezydenckich byłoby gwoździem do trumny transatlantyckiego braterstwa broni. Zwycięstwo Baracka Obamy przedłużyło agonię przyjaźni euroamerykańskiej. „Obamomania” okazała się jednak zjawiskiem nadzwyczaj efemerycznym – bardzo szybko pękła niczym bańka mydlana. Bushowski konserwatywny militarysta Robert Gates pozostał sekretarzem obrony, a kontyngent wojskowy w Afganistanie nie został wycofany, jak obiecywano, ale zwiększony. Katownia w Guantanamo działa w najlepsze, a generałowie w Pentagonie snują plany ataku na Iran. Przyznanie pokojowej nagrody Nobla Obamie zostało w Europie w najlepszym razie przyjęte sceptycznie, a częściej – odebrane jako nedorzecznosc i kuriozum. Charyzma nowego prezydenta okazała się dziełem specjalistów od Public Relations – zniknęła niemal momentalnie po zakończeniu mistrzowsko zaaranżowanej kampanii wyborczej. W samych Stanach Zjednoczonych Obama traci poparcie, bowiem nie radzi sobie z ambitnymi zadaniami reanimacji gospodarki dławionej kryzysem i reformy systemu ubezpieczeń zdrowotnych. Republikanie przygotowują się do przejęcia Izby Reprezentantów, a „twardogłowi” ultrakonserwatyści w rodzaju powstających jak grzyby po deszczu Tea Parties, albo też Sarah Palin i Stanleya McChrystala snują marzenia o rewanszu „tradycyjnych amerykańskich wartości”.

Jeszcze niedawno nazywanie Stanów Zjednoczonych „cytadelą swobody” czy „symbolem demokracji” było standardem europejskiej publicystyki. Dziś budzi raczej śmiech i politowanie. Amerykański styl życia (symbolizowany przez fast foody, kino z Hollywood, czy muzykę pop) wśród wykształconych warstw w wielkich zachodnioeuropejskich miastach stanowi symbol złego gustu. Niski poziom oglądy i zatrważająca ignorancja Amerykanów stanowi powszechny temat do żartów wśród Europejczyków. Mieszkańcy Nowego Świata powszechnie krytykowani są za brak świadomości ekologicznej, a Amerykę postrzega się jako globalnego truciciela środowiska naturalnego. Amerykańskie religianctwo - demonstracyjne odwoływanie się do symboliki religijnej przez polityków – kontrastuje z sekularyzmem stanowiącym podstawę współczesnej tożsamości europejskiej. Przykładów na głęboki rozłam kulturowy, sekundujący rozłamowi politycznemu, jest aż nadto.

Coraz trudniej wskazać jakiekolwiek wartości, na których można byłoby budować transatlantycką wspólnotę. Za taką wartość trudno uznać system demokratyczny, albowiem kartelizacja amerykańskiego systemu politycznego wydaje się aż nadto widoczna – uzależnienie obu głównych partii amerykańskich od wielkiego kapitału i lobby zbrojeniowego jest widoczne nawet dla niewprawnego obserwatora. Oprócz wspólnoty wartości za fundament porozumienia może posłużyć wspólnota interesów. Coraz częściej okazuje się, że żadnych wspólnych interesów, które łączyłyby Stany Zjednoczone i Europę, po prostu nie ma. W obliczu zeświecczenia społeczeństw Europy absurdałne byłoby wymienianie chrześcijaństwa jako fundamentu transatlantyckiej wspólnoty politycznej. Tym samym geopolityczny konstrukt „Zachodu” rozpada się na naszych oczach.

W obliczu powyżej przytoczonych faktów wydaje się zasadne postawienie postulatu geopolitycznej resuwerenizacji Europy. Uzyskanie podmiotowości geopolitycznej przez Europę

będzie niemożliwe, jeśli nie będzie ku temu woli. Nieustannie można usłyszeć frazę o Europie, będącej „ekonomicznym gigantem i karłem politycznym”. Fraza ta, choć zbanalizowana przez nadużywanie, jest niewątpliwie prawdziwa. Można też zaryzykować stwierdzenie, że tak długo, jak długo istnieć będzie NATO, karłem politycznym pozostanie. Dominacja militarna Amerykanów w Pakcie Północnoatlantyckim jest ogromna, co wydaje się wygodne dla obu stron. Dla Amerykanów stanowi rękojmię pozostania Europy w ich sferze wpływów geopolitycznych, a dla wielu pozbawionych ambicji polityków europejskich umożliwia zmniejszani nakładów na zbrojenia i zdejmuje odpowiedzialność za bezpieczeństwo międzynarodowe. Tradycyjnie Sekretarzem Generalnym NATO jest Europejczyk, co bez wątplenia dowartościowuje europejską dumę i potrzebę prestiżu, a jednocześnie przysłania fakt, że Amerykanie w pełni kontrolują struktury militarne Paktu.

Na naszych oczach dokonują się jednak dwa równoległe procesy, które osłabiają pozycję USA w regionie. Po pierwsze, europejskie społeczeństwa stają się coraz bardziej antyamerykańskie, wywierając rosnącą presję na elity. Po drugie, narasta (wolno, choć zauważalnie) antyamerykanizm wśród samych elit politycznych, dostrzegających rozbieżność europejskich i amerykańskich interesów. Można domniemywać, że oba procesy będą zachodzić z coraz większą dynamiką, co może zaowocować rozpadem NATO i likwidacją amerykańskich baz na kontynencie europejskim, ergo resuwerenizacją geopolityczną Europy.

Warunkiem koniecznym dla uzyskania podmiotowości geopolitycznej przez Europę jest powołanie europejskich sił zbrojnych, w pełni niezależnych od NATO i Stanów Zjednoczonych. Nieśmiałe próby stworzenia realnej europejskiej tożsamości obronnej są konsekwentnie sabotowane przez rozmaitych polityków (co jest motywowane już to względami oszczędności, już to przyczynami ideologicznymi, np. priorytetową rolą stosunków transatlantyckich).

Traktat Lizboński nie jest tu przełomem, albowiem jego założenia (i tak mało ambitne) pozostają w sferze deklaratywnej. Wagi powyższego problemu nie rozumie, niestety, część działaczy i ideologów europejskich ruchów kontestatorskich, pacyfistycznych i antykapitalistycznych, uznający postulat powołania europejskich sił zbrojnych za krok w kierunku militaryzacji Europy. Głoszenie tego rodzaju haseł wzmacnia status quo, czyli amerykańską hegemonię w Europie, zdegradowanej do roli „młodszego brata” w ramach logiki paradygmatu atlantyckiego. „Partia amerykańska” w Europie jest reprezentowana przez stronnictwa polityczne Europejskiej Partii Ludowej, a w jeszcze większym stopniu przez niedawno powstałą grupę „Konserwatyści i Reformatorzy”, w której prym wiodą brytyjscy torysi, polskie Prawo i Sprawiedliwość i czeska Obywatelska Partia Demokratyczna, otwarcie dążące do sabotowania wszelkich prób wybijania się Europy na geopolityczną suwerenność.

Unia Europejska po wyzwoleniu się spod jarzma amerykańskiej hegemonii (za cenę, co więcej niż prawdopodobne, samowykluczenia tradycyjnie proamerykańskiej Wielkiej Brytanii z grona państw członkowskich) może zyskać podmiotowość geopolityczną wtedy, gdy nawiąże specjalne stosunki strategiczne z Rosją. Proces ten powinien znaleźć swoje ukoronowanie w integracji państw dzisiejszej Unii Europejskiej z Federacją Rosyjską, Ukrainą i Białorusią w ramach jakiegoś rodzaju wspólnej struktury. Wydaje się, że oba podmioty ewentualnej integracji – Unia Europejska i Rosja – znakomicie dopełniają się nawzajem. Biegun europejski dysponuje sprawną gospodarką, nowoczesnymi technologiami i wysokim poziomem rozwoju społecznego, biegun rosyjski natomiast surowcami energetycznymi, silną armią i skuteczną dyplomacją. Interesy obu podmiotów integracji nie są przy tym sprzeczne, a zbieżne. W dalszej perspektywie możliwa byłoby włączenie się do opisywanej struktury geopolitycznej świata arabskiego (w wypadku poskromienia tendencji wahabickich i fundamentalistycznych i

zwycięstwa np. świeckich idei panarabskich).

Perspektywa resuwerenizacji geopolitycznej Europy tylko pozornie wydaje się mrzonką. W rzeczywistości ten scenariusz rozwoju sytuacji jest nadzwyczaj realny. Aby Europa przestała zyskała podmiotowość geopolityczną konieczne jest wyrzucenie na śmietnik historii zimnowojennych dogmatów i schematów myślowych, a także atawistycznych reliktów pozostałych po świecie dwubiegunowym, do których zaliczyć należy w pierwszym rzędzie Pakt Północnoatlantycki.

Przemysław Sieradzan, dr politologii, analityk, wykładowca i tłumacz. Pełni funkcję eksperta Europejskiego Centrum Analiz Geopolitycznych w zakresie życia politycznego i stosunków międzynarodowych na obszarze postradzieckim. W czerwcu 2010 roku z wyróżnieniem obronił na Uniwersytecie Warszawskim dysertację na temat sojuszu ugrupowań radykalnych we współczesnej Federacji Rosyjskiej. Dwukrotnie odbywał staże naukowe na Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym im. M. Łomonosowa. Uczestniczył w misjach obserwacji wyborów na Ukrainie i w Federacji Rosyjskiej. W swojej pracy badawczej koncentruje się na zagadnieniach geopolityki, rosjoznawstwa, historii najnowszej, nauki o cywilizacjach, religioznawstwa oraz niekonwencjonalnej myśli politycznej i ruchów społecznych. Jest autorem monografii "Aksamitni terroryści. Narodowy bolszewizm w Federacji Rosyjskiej".